

L. Ciechanowiecka

W BARAKACH I SUTERENACH WARSZAWY

Wracają do ojczyzny...

Jedni mówią, że jest ich jedenaście tysięcy, inni — że blisko dwadzieścia tysięcy. Może więcej, może mniej. Przejeżdża ich tysiące przez granicę. Pociągi wyrzucają całe gromady rodzin na stacjach w Złazym, w Poznaniu, w Gdyni. Kiedź zliżesz kamienie miażdżone maszyną na gościach. Bo oni są doprawdy jak kamienie, rzucone na szeroki trakt. Potężna, złośliwa maszyna miażdży je i wlewa w ziemię...

— Ano, co, jak robote stracili, to i wyjeżdżać kazali — opowiada kobieta w chustce wełnianej, blada i smutna. Przyszła do Opieki, na Krakowskie, gdzie już w ciasnej sieni tłoczy się kilku mężczyzn o polskim typie, a jednak trochę z cudzoziemską wyglądujących. Mają na sobie lekkie „paletki”, albo skórzane kaftany szoferskie, czapki sportowe, lub baskijskie berety. Poniekąd przywiozł tam jeszcze z sobą parę groszy, ale większość to nędzarze.

— Chłóren miał rodzinę po świecie — temu dobrze — ciągnie dalej, bezbarwnym głosem kobiecie, — jeden na wic se wrócił, do rodziców, inny jakie siostry, albo wujka znalazł. Póki ma gdzie siedzieć, póki go swoje nie wyrzucą. Ale nawieniec takich, co nikogo nie mają. Bo to po kilkanaście roków siedzieli we Francji. No to teraz po przytulach nocują. Na Dzieknie, na Jagiellońskiej. A w dzień pracy szukają...

— Jak było z wyjazdem? Czy zdążyli coś wywieźć?

— Ale, a bo to wolno było! Tera ze dworu, rzeczy nie można brać, tyle co na siebie. Wiele ludzi poustawiali tam u nas w Bruce co chto miał, jak na targu, stoły, statki kuchenne. I czekali. Kto kupi. Aby przetrwać. Jak Francuz przyjeżdżał, popatrzał, zobaczył szafę z lustrem, czy innsy paradniejszy mebel, to kupił. Ale wszystko insze to na smole, za grosze. Jedną to kupił łóżko za kilka tysięcy franków, a przedała za dwadzieścia franków. Mój to wszystko zaprzepścił.

Zacisnęła zziębniętymi rękami chustkę przy szyi. Wyglądała jak żółta chłopka z akwafort Kulisiewicza. Nie jej ten Paryż nie odnieśli. I na placu Opery paradowała w tej swojej zniszczonej chustce, z gładko przeczesanymi włosami, w przelśniących butach, co uwierają nogi, przywykłe do stapania po trawie i polu.

Mój tutaj wszystko wysprzedał

— Jechali do tej Francji prawie bosi i nagie. Mój tutaj wszystko wysprzedał. Był robotnik ziemny. To poszedł na górnik. Spoczęł, ku ciężko mu szło. Niezwyczajny był do tej pracy. Raz mu kunięć spadł na plecy. O mało nie złamał krzyża. Leżał bezmowa trzy miesiące. Ale tamoj opieka była. Nie można powiedzieć. Jak błęse — to brał pół zarobku, codziennie, a jak „malat”, to siedem franków. Potem jak przywykł, to tamoj się zrobił krzyż. Swoich zwalniali, obcych też. Bo w złym czasie przyjechali, w 1929 roku. To już była ostatnia „partia”. Tylko cztery dni w tygodniu się pracowało, po 28 franków.

Tera przyszli nógorsze czasy, to chłop wrócił bosi i nagi do ojczyzny.

Takich Maniek, Józek i Kasiek tysięcy wróciło z dziećmi i niekami. Bieda gnębiła ich w kraju, bieda ich nieczyła na obczyźnie, ale są i tacy, którzy zdolali wybić się, przekształcili się z polskich chłopów we francuskie „bourgeois”, mieli już swoje własne domy, pięknie utrzymane ogródki, lustrzane szafy i ubrania jak się patrzy, i trochę grosza w kase oszczędności. Starzy pomimo wszystko pozostali Polakami, dzieci już mają jakby podwójne dusze — jedną francuską, która rozmawia po francusku, tęskni do widoku zielonych winnic, ferm zasobnych, miasteczek, w których każdy dom ma swoją wstrząsającą historię, — i drugą dumską, mówiącą po polsku i tęskniącą do nieznanej, dalekiej ojczyzny, znanej tylko z opowiadań, z elementarza i obrazków.

Tym młodzieńcom, którzy dostali się pod skrzydła dobrych ludzi z Opieki nad Polakami na obczyźnie wiedzie się narazie dobrze. Inni zdążyli automatycznie przekształcić się w bezrobotnych, których jedyną legitymacją jest karta bezrobocia, uprawniająca do wystawiania godzinami w procesji przed bramami urzędów pośrednictwa pracy, pozwalająca (nie wszystkim zresztą) na oczernianie zupy ze wspólnego kotła magistrackiego.

go. Sześciu mieszkają w dwóch drewnianych, prowizorycznych domkach na Targówku, przy ulicy Wincentego a Paula. Jest tam miejsce dla dwadzieści osób. Podczas gdy tysiące byłych „bourgeois” nocuje w dusznych, posępnych domach noclegowych, skąd dzień wygania ich na ulicę — oni mają jeszcze własne, żelazne łóżka, ustawione jedno nad drugim, niżej w sleepingu. Nocą zdaje się im, że dziwny sleeping wiezie ich ku lepszej przyszłości. W ciągu dnia odwiedzają ich żywe opiekuńcy, wiadomo, że w razie czego i doktor przyjdzie, i lekarstwa się znajdą, i codzienny posiłek, a dzieci zostaną umieszczone w miarę możliwości w szkołach i przedszkolach.

Armand i Roland

W białej, nagiej izbie mało jest sprzętów, cały dobytek rodziny: kilka ubrań, męski garnitur, łomoczek z białą lóżą na wyszczupłym łóżku. Na tem dołnem leży młoda kobieta, w białej chustce na głowie. Nie może otworzyć oczu.

— O Jezn, jak mnie bołą. Jakbym krosty miała jakoweś w środku, pod powieką. Nocą to mi głowę rozrywa.

Wykrzywiła bladą twarz o wystających kościach policzkowych i mrużąc zapięciem, skłonioną powiekami. Z przykrótkich rękawów wysunęła szcuple rękę, o zgrubiałych palcach. Wyglądała jak typowa polska, zabiedzona Maryska.

Męża niema. Poszedł szukać jakiego zajęcia. Została sama z dziećmi.

Wokoło sosnowego stołu skupiła się gromadka jasnowłosych dzieciaków. Ciała piskląt. Wyglądają, jak piskląta, zacięte im jasny puch na głowinach. Wlepili oczy w gościa i patrzyli w milczeniu. Czekają. Wogóle od dłuższego czasu ciągle na coś czekają. Albo na dworek, żeby pociąg przyszedł, to znów w pociąg, żeby wreszcie dojechać się ostatniej stacji. A teraz — żeby wreszcie ktoś ich wyprowadził z nagiej, pustej poczekalni, gdzie jest tak dziwnie, tak innszej, niż w domu. Tam we Francji.

— Jak się nazywasz? — zapyta je najstarszego chłopca. Ma na sobie marynarskie granatowe ubranko, pamiątkowe lepsze czasy. Wygląda jak mały lord. Ma trochę pigowatą buzię i gładko przeczesane jasne włosy.

— Roland — odpowiada, łoząc „m”, jak marsylezyk.

— Et moi — Arrmand — odzywa się cherubinek o wielkich anetystowych oczach.

— On jest Zdzisław, na drugie — dodaje matka. — To mój stary takie im imiona wymazał. Pierwsze francuskie, że niby we Francji urodzone, a drugie polskie, bo przecież my Polaki. „Roland” to się także zowie Wiesław. Mój mówił, że to jakieś słowiańskie, cy jak.

— Moi je suis Jeannine — recytuje dziewczyneczka w szkolnym czarnym fartuszu — et Dobrosława aussi.

Jest jeszcze Modeste i Henriette i Arrmand...

— Ano tak. Parują, jak male Francuzi — powiada matka, krzywiąc twarz boleśnie. To ma być uśmiech. — Wiadomo, urodzone tamoj, do szkoły chodzący. Ale mój stary ani myśleć chciał, żeby poddaństwo zmienić. Polak, powiada.

Jedem, do śmierci Polakiem będzie.

Bo chciał zostać Polakiem

— Mój był malarz od kominów fabrycznych. Dumny tyż stawiak. Był piętnaście lat we Francji. Ale cagle myślał o ojczyźnie. Bo to się chował u jednej pani, w Polsce, jeszcze za ruskich. Patryjotka wielka była, książki pisała. To już tak go wychowała, że i bez to nie chciał zanie poddaństwo wziąć francuskie. Chciał łatwiejby mu było. Ze wszystkim. Dzieciaki ładne mamy, starsze do szkoły chodzący. Naukęcieli wychował, że „saz”, że „aplike”. We Francji dzieciów mało mają, to zarabizy eudze za swoje wzięli. A jak zaczęli z pracy oddawać, no to na przód obcych, co obce papiry mieli. Wiele i mój stary zaczął biedować. Na szmazaż my żyli, a potem wyjechać kazano.

— Oj, dobrze nam było przóły. Pomieszkanie było przy fabryce. Mielu mi wiecej jak morge ogrodu. Hozdawka dla dzieci była. Pośrodku ogrodu taki wielki dumb był. Bardzo ślicznie było. Zawa las. Dzieci

mały gdzie latać. Boże, Boże — już chyba nigdy takiego rajy mieć nie bedziem.

— Coż wy tak mało sprzętów macie? Czyście wszystko wyprzedali?

— Ale. Zostało nam już tyle, co i nie. Troche statków kuchennych i meża narzydzia do pracy. Ale na granicy zatrzymano wszystko. Bez cło. To państwo z Opieki cło zdjęli. Ino teraz trzeba sterdziesię złotych zapłacić za przewóz. Skąd? Co było trochę grosza, to wyszło. Bo my na przód pojechalim do matki. Zdaleka

jedem, z Kujaw. Matka stara, chorą. Biedna, jak mysz kościelna. Roboty znikąd dostać nie można. Głód doskwierał. Dzieciaki płakały. Byłyby mi pomarły z głodu. Zaopatrzenia żadnego tam nie mieli. Więc przyjechalim do Warszawy.

Znowu się uśmiechnęła żałośnie.

— Przecie w takim wielkim mieście nie dadzą nam zginąć z głodu. Przecie mój mąż bez to wrócił, że Polakiem chciał zostać. Jakżeby więc miał zginąć. Akuratnie tera, w ojczyźnie?...

Bohatera karta z dziejów walk Irlandji

Porwanie 16-letniej córki bohatera burmistrza Cork'u

Córka Mac Swineya

W dwa lata po śmierci burmistrza Cork'u, wdowa po nim, zaproszona została przez organizację irlandzką w Stanach Zjednoczonych na konferencję i zjazdy, które się tam odbywały. Wyjeżdżała tam dwukrotnie i jej drugi pobyt w Ameryce przeciągnął blisko rok. Wtedy to nie chcąc zabierać z sobą maleńkiej 5-letniej córki, którą kochała ponad wszystko, pani Mac Swiney powierzyła dziewczynkę opiece swojej szwagierki — siostry zmarłego burmistrza. Starsza dama mieszkała stale w Cork, nie miała własnych dzieci i żyła tylko wspomnieniami o tragicznie zmarłym bracie. Zajęła się pielęgnowaniem i wychowywaniem dziecka, jakby to było jej własne. Wiedziała pełną żałoszrości miłością do dziewczynki — uciekła się do intryg i starała się uspokoić opinie w ten sposób, że zaczęła mówić o tem, że wdowa po Mac Swiney nie jest godna i nie potrafi dość dobrze wychować dziecka po tak wielkim bohaterze narodowym, jakim był burmistrz Cork'u. Wobec tego nastawienia opinii, kiedy pani Mac Swiney wróciła po roku do Irlandji, znalazła wszystkich usposobionych do siebie wrogo. Atmosfera poprostu stała się nie do wytrzymania. Zna Mac Swiney, która zawsze była wierna wolnościowej idei irlandzkiej, która czciła bohaterstwo swojego męża i kochała ponad życie córeczkę, przeżywała chwile dramatyczne. Nie mogła uczynić jednego kroku, nie mogła wypocząć słowa,

Bohatera śmierć burmistrza Cork'u

Sprawa porwania dziewczynki zainteresowała cały świat, gdyż miała jest córką bohatera burmistrza Mac Swineya, człowieka, który umarł w r. 1921 za wolność Irlandji. Był to pierwszy wypadek w historii, kiedy wiezień polityczny ginie dobrowolną śmiercią głodową. Ta dobrowolna głodówka była protestem wniesionym przez burmistrza Cork'u przeciwko uciśnieniu angielskiemu Irlandji. Mac Swiney przestał przyjmować pożywienie w czasie procesu, jednak jego organizm nie wytrzymał głodzenia się i po 72 dniach okropnych dobrowolnych męk głodowych — zmarł.

Str. 184 J. Kuszel i E. Bałucki „Przegrana”.

Brutalnie chwycił ją za ręce.

Ujrzała rozszerzone oczy, usta skrzywione w ohdym uśmiechu i wstrętną twarz.

Szarpnęła się wtył. Na chwilę stracili równowagę, lecz Stark chwycił dziewczynę wpół i mimo rozpaczliwego oporu przechylił ją łatwo na bok stojące łóżko.

Lipowiecki nie tracił czasu. Zdał sobie szybko sprawę z całego sytuacji. Był przekonany, że zniknięcie panny Wysowieckiej i list są dziełem Anglików, których już oddawna miał na oku. Obecnie rozpuścił wiadomościom na wszystkie strony i w ten sposób śledził każdy krok Perkinsa i Archiego.

Wprawdzie drobniagowe badanie ustaliło, że krytycznego dnia obaj od godziny szóstej popołudniu nie wychodzili z hotelu, zjedli kolację, a potem grali w szachy do północy, jednak to nie psuło koncepcji Olchy. Wiedział, że robota była pierwszorzędna i szedł dalej wytkniętym śladem, który zaprowadził go wkrótce do celu. Poszło mu to tem łatwiej, że Angliki nie przypuszczali interwencji polskiej.

Gdy Barczyński wszedł do hallu hotelu Rzymskiego i brał klucz, poznał po minie Skalkowskiego, że portier ma mu coś do powiedzenia. Zbliżył się.

— Proszę pana, niedawno telefonował Lipowiecki. Ma właśnie tego... ważny interes. Prosił, aby pan zaraz przyszedł do baru Hotelu Europejskiego.

Barczyński zbladł. Czyżby Lipowiecki był tak nieostrożny? A może już znalazł Lolę, a może wszystko stracone?

Opanował się, bez słowa położył klucz. Zmęczonym krokiem skierował się ku wyjściu.

— POCO się spotykamy na oczach tylu ludzi? — przytulił Lipowieckiego tonem wyrzutu.

— Niech pan śląda, panie Stefanie i niczego się nie boi. Byłoby znacznie gorzej, gdyby pan przyszedł do mnie, albo ja do pana — uspokajał go Lipowiecki. — Mało komu przyjdzie do głowy, żeśmy się zeszli tu, w publicznym miejscu dla takiej rozmowy, której nikt nie

Niedawno ukazała się...

Powieść Fr. Körmendi'ego „7¹⁵ — via Bodenbach”

Jest to właściwie nowela, obszer-na, interesująca nowela, napisana z wielkimi wyczuciem właściwości i wymagań tego rodzaju literackiego, z finezją kompozycji i stylu.

Franciszek Körmendi jest Węgrem. Do niedawna był zupełnie nieznany, rozgłos przynosi mu dopiero powieść „Przygoda w Budapeszcie”, którą posłał na międzynarodowy konkurs literacki, urządzony przez angielski concern wydawniczy: A. M. Heath,

Chapmann, Hall i William Mor-row.

Na konkursie „Przygoda w Budapeszcie” zdobyła pierwszą nagrodę. Oczywiście wywołało to od razu falę przekładów. Jednym z pierwszych był przekład polski, wydany u „Gebethnera i Wolffa”.

Dziś, po powieści, będącej studjum psychologii ludzi powojennych, poznajemy w przekładzie Rezső Schutza nową książkę Körmendi'ego*).

Tym razem temat jest biały i bardzo w twórczości nowelistycznej popularizowany: przygoda w pociągu chciałoby się nawet powiedzieć: temat zużyty, gdyby nie to, że Körmendi dał mu tyle nowego uroku i świeżości.

Z Budapesztu, przez Pragę i via Bodenbach, jedzie pociąg do Berlina. W przedziale: cztery osoby. On, ona, starszy pan, syn starszego pana. Zwykła znajomość w podróży i zwykła banalna rozmowa zamienia się w ciąg niecałej doby w flirt. Flirt oparty na kłamstwie. „Ona” opowiada, że jest artystką — malarzką i że jedzie do Badenbadu do bogatej rodziny, „on” coraz więcej myśli poświęca towarzyszącemu podróży i w końcu decyduje się w Bodenbach wysiąść z nią razem. W Bodenbach następuje jednak zdemaskowanie pięknej nieznajomej. Nowe światło, rzucone już nie przez żart, flirt i jednodniową bajkę, ale przez rzeczywistość — nie jest dla niej pochlebne. Ona zostaje w Bodenbach, przestawszy już być bohaterką przygody, on, zmylony i zwiedziony przez trop przygody, jedzie dalej.

Historyjka mało ważna. Tak, ale opowiedziana z prawdziwym talentem i wdziękiem. Jakby film rozrywkowy, mała komedia pomyłek, ale reżyserowana przez reżysera wysokiej klasy.

*) FRANCISZEK KOERMENDI: „7.15 via Bodenbach”. Przekład Rezső Schutza. Warszawa 1935. Gebethner i Wolff.

przyjeździe do Dublina spotkała się z oziębłością i nieprzychylnością opinii. Jej dawni przyjaciele nie chcą ułtwić jej odyskiania dziewczynki, a prezydent De Valera, dawny przyjaciel jej męża, odpowiedział jej, kiedy przed dwoma dniami zwróciła się do niego z prośbą o interwencję, że — niestety — nie może wpłynąć na zwrot dziecka. Czyżby racja stanu irlandzka wymagała,

Czy tego wymaga racja stanu?

Od tego czasu pani Mac Swiney nie widziała swojej córeczki, a po (Dokończenie obok)

J. Kuszel i E. Bałucki „Przegrana”. Str. 181

dopodobieństwa, zwłaszcza gdy przypomni sobie Starka i jego dziwne zachowanie:

— Nigdy nie oddałby mnie pod opiekę takiego podejrzanego typu. Czego on chce ode mnie?...

Ktoś przeszedł, głośno stukając obcasami, zgrzytnęła klamka i znów się uciszyło.

Nagle Lola usłyszała rozmowę, dolatującą jakby z sąsiedniego pokoju. Przyłożyła ucho do ściany, jednak nie mogła rozróżnić słów.

Bezwiedny niepokój ścisnął serce, ze zmęczenia śladu nie pozostało.

— O czym rozmawiają? Kto? Może Stefan przyjechali?...

Zesłiznęła się z łóżka i na moment zawahała się: — Ubierać się? Niema czasu, przecież nie wejść tam...

Przebiegły ją dreszcze, gdy bosą nogą dotknęła podłogi — czy było jej naprawdę zimno w krótkiej koszulce dziennej, czy nie mogła opanować gwałtownego podniecenia?...

Ostrożnie nacisnęła klamkę, popchnęła ją — drzwi się poddały, z korytarza wionęło chłodne powietrze nocne. Obok swego pokoju nad niskim progiem spostrzegła wąski pasek światła. Tam rozmawiano.

Trzymając się ściany, zrobiła krok drugi. Skrzypnęła deska.

— Boże święty! — przygryzła wargę i zamarla. Miała wrażenie, że coś pękło z ogłuszającym grzmiotem.

Mięło parę sekund. Stłumiła strach, podkradła się do bliższego skraju drzwi i przyłożyła ucho; uczuła na policzku zimne żelazo zawiasów.

— A jak pan to zrobił? — posłyszala niski basowy głos.

— Zwyczajnie — odparł ze śmiechem drugi, w którym poznała głos Starka. — Powiedziałem, że to ten... jej adorator kazął ją przywieźć i że niedługo sam tu przyjdzie.

— No, i co? Uwierzyła? — zapytał pierwszy.

— Naturalnie. Od tego czasu siedzi cicho.

Roześmieli się obaj.